

# Z opowieści szczura (1)

Edward Pasewicz

1.

Są dwie knajpy. Jedna nazywa się Edo i jest sushi-barem. Druga to Avocado i jest nie wiadomo czym, bo ani to bar, ani restauracja. Do żadnej z nich nie wolno chodzić ze względu na szczury. Pierwszej nocy, po przyjeździe na Miodową pomyślałem sobie, że zwariowałem. Niektórzy myślą i beze mnie, że mam hyzja, ale żeby zaraz potwierdzać zawistnikom ich tezy? Co to, to nie.

Wyszedłem na balkonik. Kwadrat, studnia kwadratowa. Okna i balkoniki wychodzące na podwórze kamienicy, która kiedyś należała do Rodziny Rakowerów (między innymi, ma się rozumieć). Pracownia graficzna (półnaga pani w skwarze popołudniowym uwijała się tam i drukowała coś zawzięcie). Okienko, w którym śliczny chłopiec (nadaliśmy mu na wyrost imię Staś, chociaż po 4 tygodniach okazał się Niemcem, co Polaka nie chciał, ale to inna historia) pracował przy biurku, ucząc się i strojąc miny.

A w dole niebieskie kubły na śmieci i kilkanaście szczurów kłębiących się przy workach, które wynoszono z Edo lub Avocado. Myślałem, że szczury nie śpiewają, a one jednak śpiewają, gryzą się, piszczą, urządzają gonitwy i naprawdę nic sobie nie robią z pory nocnej. Powiedziano mi później, że pod nami są ogromne kanały i kiedy taki szczur wejdzie sobie w naszą kazimierską studzienkę ściekową, to może wyjść gdzieś hen, na bronowickich łąkach i kąsnąć Wyspiańskiego. O ile jeszcze można Wyspiańskiego kąsnąć.

2.

Z Ziemiaczkowa do Krakowa jechałem pociągiem. Reszta mnie, mąż, rzeczy, książki jechały samochodem. Żegnałem się z miastem Hinca i Grobelnego z wielką chęcią, ale z miastem Dragona, „Czasu Kultury”, KontenerArtu

i wielu, wielu wspaniałych ludzi – to już nie. No, ale trzeba było podjąć decyzję, to ją podjąłem. W przedziale jak zwykle cztery zakonnice.

To jakieś fatum, że ilekroć jadę do Krakowa, do mojego przedziału wpadają wesołe zakonnice, jakieś loretanki, elżbietanki czy inne kapucynki. Tym razem nie modliły się ani nie śpiewały pobożnych piosenek, tylko wcinały kanapki (pobożne, bo z kiełbasą szynkową, a wiadomo, że ta najpobożniejsza jest ze wszystkich kiełbas), i dobrze, bo kanapki w podróży to rzecz zacna. I nawet wydały mi się sympatyczne, i już zaczynałem je lubić, kiedy zabrały się do modlitw w intencji obrońców krzyża. Nie wytrzymałem i opuściłem przedział ze swoimi innowierczymi tobołkami.

Po przyjeździe powlokłem się do Dymu, gdzie napotkałem doktora Sikorę. Doktor poważnym krakowskim głosem zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Zmrużyłem oczka, chrząknąłem i zapaliłem papierosa, bo nie bardzo zrozumiałem pytanie. Ale doktor kontynuował. Zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę z tego, jakie totemiczne zwierzę rządzi Krakowem.

Pomyślałem, że smok. Smok, Wanda i Szewczyk Dratewka. Chociaż dwoje ostatnich to jednak nie bardzo totemiczne zwierzęta. Otóż nie, powiedział doktor Sikora. Zwierzęciem totemowym Krakowa i rządzącym nim mistycznie jest kruk (*Corvus corax*). Kruk, powtórzył doktor i wrócił do spokojnego picia wiśnioweczki.

Pomyślałem wówczas, że zwierzęciem totemowym Ziemiaczkowa musi być niechybnie stonka, no, ale przypomniałem sobie trykające się koziołki i jakoś nie mogłem tych koziołków przypiąć do apollińskiej natury kruka, jego związków z Wotanem, posłannikiem zaświatów i do innych mistycznych symboli.

Zdezorientowany powlokłem się na Mały Rynek do mieszkania Marcina Ś., znanego poety i pieśniarza, gdzie poczęstowano mnie zupą rybną i winem. Ale nie mogłem się skupić na smaku zupy, kiedy mi w głowie siedział kruk doktora Sikory. Potężny, profetyczny kruk związany z mitami rezurekcyjnymi. Ryby w mojej zupie żadnej rezurekcji dokonać nie chciały, bo były to swojski karp i pstrąg ugotowane w paprykowo-pomidorowej paście z dodatkiem ziół i szlachetnego czerwonego wina.

Zupę ugotował kolega Rafał, a Ewa M. podawała przepyszne wina. Postraszony przez doktora Sikorę powoli oswajałem się z moim krukiem wewnętrznym. W końcu udałem się na Kazimierz, gdzie odebrałem klucze do mieszkania i poczekałem, aż samochód z resztą mnie, mężem, rzeczami i koleżanką M. przybędzie na miejsce.

### 3.

Deszcz. Siedzimy w Miejscu przy ulicy Estery. Trochę tu jeszcze obco (mam na myśli Kazimierz), a trochę już nieobco. Das gute Leben pewnie kiedyś się zacznie, ale na razie jest tak sobie. Zresztą, co to miałyby znaczyć: dobre życie?

Opowiadam swój pierwszy sen z nowego miejsca. Była tam kobieta, u której chciałem kupić bilet do kina. Kino było budowlą z wielkiej płyty i mógłby się w nim spokojnie schować Pałac Kultury i okolice. Pani, która miała mi sprzedać bilet, pochodziła z Moraw. Była też tancerką i udzielała lekcji tańca tym, którym udało się kupić bilety do kina.

Kino mnie niepokoiło. Było czymś w rodzaju podróży, po zakończeniu której nie wie się, czym była. Na dodatek czułem, że w kinie właśnie nadchodzi przedwiośnie. Rośliny puszczają korzonki, ziemia schnie i można spokojnie +

siąść do pierwszej partyjki szachów. Przedemną w kolejce stał rudobrody mężczyzna z drewnianą nogą i dobrze ubrany pan z Detroit City.

Wiedziałem, skąd jest, ponieważ w dłoni trzymał duży dokument ze zdjęciem, a w dokumencie napisane było czarno na białym, że jest biegłym księgowym i zajmuje się także ubezpieczeniami. Ale dokument ten informował również, że jego egzystencja jest najzupełniej fikcyjna. Był równie prawdziwy jak figury pani Tussaud. Przestraszyłem się, kiedy odwrócił się do mnie i powiedział, że jest taki, ponieważ miał nianię: była kompletną schizofreniczką. Aż pewnego dnia podcięła sobie gardło brzytwą, słuchając „Hey Jude”.

Powiedziałem mu, że to strasznie smutne. A wtedy on powiedział, że wokół jego domu był stary wyszczerbiony mur. Kiedy był dzieckiem, lubił siedzieć skulony pod tym murem, tak żeby dzieciaki z sąsiedztwa nie były w stanie go znaleźć. Powiedziałem mu, żeby się nie martwił dzieciństwem, w końcu to nic innego jak przeszłość. Odpowiedział mi, że się grubo mylę. Rudobrody mężczyzna tylko wzdychał i kręcił głową, jakby moja rozmowa z facetem z Detroit nie podobała mu się wcale. W pewnym momencie fuknął i odszedł z kolejki.

I wtedy nagle okazało się, że stoję przed kasjerką. Miała ładną twarz. Pomyślałem, że musi być cierpliwą i skrupulatną osobą, bo ma delikatne bruzdy wokół ust. A jej zmęczone oczy dawały mi jakieś irracjonalne poczucie bezpieczeństwa. Wyglądała jak niektórzy z tych nostalgicznych literatów, którzy latami czekają na wydanie swojej książki, chodzą z rękopisem od knajpy do knajpy i czekają, aż jakaś nieświadoma ofiara usiądzie przy nich i będą mogli pokazać jej swoją „twórczość”. No, ale ona sprzedawała bilety do kina. To było zupełnie co innego.

Stałem tak, patrząc na nią, i zupełnie nie wiedziałem, co powiedzieć. Wtedy ona zapytała, czy chcę kupić bilet. Powiedziałem, że tak. Tyłem tylko, że nie bardzo wiem, w jaki sposób się płaci za bilet do kina. Zaczęła się śmiać, odsłaniając rząd czystych, równych, białych zębów. Nie płaci się nic, powiedziała i po chwili milczenia dodała: Żadne ramki nas nie odstraszą, prawda? Nawet kotki i inne święte obrazki. Nawet natura światła, tu króliczy bobek, a tam falka na kałuży. Nie ma to jak jabłko Adama, przełknięcie śliny i zdrowe zęby. I pamiętaj, niebieski kotek to śmierć, różowy to owrzodzenie. ○